

# Orłowski, Bolesław

---

## "O rozwoju w historii", V. Gordon Childe, Warszawa 1963 : [recenzja]

---

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 10/1-2, 128-131

---

1965

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



W studiach nad historią nauki — starożytności i średniowiecza w szczególności — równie istotnym zagadnieniem jest stosunek nauki do filozofii, ich niewzajemne silne związki. Ponadto historia nauki, oczywiście, musi zawsze brać pod uwagę i uwzględniać w badaniach ścisłą współzależność nauki i sytuacji ekonomicznej oraz społecznej. Czy to wszystko znaczy, że nauka rozwija się wyłącznie dzięki bodźcom i wpływowi zewnętrznym? Przeciwnie, rozwija się ona — zdaniem autora — jak najbardziej autonomicznie, motorem zaś jej wewnętrznego rozwoju są: radość poznania oraz pragnienie kontroli nad przyrodą i ulepszania warunków życia ludzkiego.

Historia nauki nie jest samym wyliczeniem i opisem faktów, które zaszły w przeszłości, lecz zawsze jakąś ich interpretacją i osądem — wraca znowu w części końcowej rozprawy do tego ważnego stwierdzenia prof. Hooykaas. Historykom nauki jednak nie wolno popełniać żadnego z dwóch przeciwnych sobie błędów — przeceniania lub niedoceniaiania poszczególnych uczonych, przemilczania pomyłek jednych lub zasług drugich. Tu dochodzi autor do problemu dogmatyzmu i obiektywizmu w interpretacji historii nauki. Wszelkie przesady, uprzedzenia, sztywne zasady fałszują pogląd na rzeczywistość i z góry przekreślają szansę sformułowania względnie obiektywnego sądu. Względnie obiektywnego — zastrzega prof. Hooykaas — gdyż nie można mówić o absolutnej obiektywności interpretacji historycznej. Jeżeli ma być ona istotnie interpretacją, a nie kompilacją faktów — umysł, charakter i przekonania historyka muszą się w niej odzwierciedlać.

Małgorzata Frankowska

V. Gordon Childe, *O rozwoju w historii*. Z angielskiego przełożyła Halina Krahelska. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1963, ss. 292, mapki 4.

Książka wybitnego angielskiego znawcy prehistorii i starożytności, V. Gordona Childe'a, ukazała się ponad dwadzieścia lat temu, w 1942 r., pod tytułem *What Happened in History*. W 1954 r. autor dokonał pewnych uzupełnień, które jednak, jego zdaniem, „nie wpłynęły w sposób zasadniczy na ogólne kontury obrazu” (s. 6). Minęło dalszych dziesięć lat i doczekaliśmy się polskiego przekładu tej głośniejszej na Zachodzie pracy.

Książka *O rozwoju w historii* stanowi zakrojoną na szeroką skalę syntezę, obejmującą poza historią kultury i cywilizacji przedhistorycznej i starożytnej — również rozważania z zakresu biologii, fizjologii, filologii, psychologii itp. Zadanie, które podjął Childe, było niełatwe, odnosiło się bowiem do scharakteryzowania ogromnego okresu i obszaru, a przy tym opracowanego już mnóstwo razy w bardziej lub mniej szczegółowych ujęciach przez nadzwyczaj wielu uczonych. Z przebogatej literatury należało wybrać i wykorzystać jedynie wartości najistotniejsze, aby zamknąć całość tematu na stosunkowo niewielu stronach. Książka nie wydaje się jednak przeładowana faktami. Autor operuje niekiedy liczbami dla lepszego zobrazowania opisywanych zjawisk i faktów, ale czyni to z umiarem. Najważniejszą dlań rzeczą jest przedstawienie własnej, ugruntowanej długimi latami badań, wizji dziejów. I, trzeba przyznać, udało mu się to doskonale. Procesy gospodarcze i społeczne, ściśle związane z postępem techniki, ukazują się czytelnikowi jako łańcuch konsekwentnych, logicznie powiązanych ze sobą wydarzeń, dla których dzieje polityczne są jedynie tłem.

Precyzyjne i jasne sformułowania, oparte o najnowsze zdobycze wiedzy, łatwo trafiają do każdego odbiorcy. Czy dodatkowo uprzystępniają lekturę określenia,

które stosuje Childe, takie jak: kapitalizm, strajk, burżuazja, imperializm, narodowy socjalizm itp.? W odniesieniu do zamierzonych epok określenia te specjalistów muszą raczej razić, natomiast przeciętnemu czytelnikowi w pewnej mierze pomagają; choć kryją też w sobie niebezpieczeństwo zbyt powierzchownych i mylących analogii.

Główny nurt rozwoju ludzkości, od najprostszych form cywilizacji aż po schyłek imperium rzymskiego, przedstawiony został przez Childe'a nie tylko przekonująco, ale i ciekawie. W całej pracy trudno się doszukać poważniejszych potknięć, choć niekiedy można mieć do autora pretensje co do proporcji miejsca poświęconego poszczególnym zagadnieniom; czasem prześlizguje się on tylko po powierzchni problemów, czasem zaś omawia jeden z nich nazbyt szczegółowo. Dyskusja byłaby tu jednak z całą pewnością niecelowa, gdyż każdy autor, który podjąłby ten temat na tak szczupłej liczbie arkuszy, zawsze dopuściłby się w przekonaniu innych specjalistów wielu dysproporcji. Najważniejsze, że książka Childe'a daje czytelnikowi właściwy, choć, oczywiście, noszący znamiona osobistych zainteresowań i sympatii autora, przebieg dziejów. Lektura książki daje dużo do myślenia. Z pracy tej widać doskonale, że historia nie jest tylko zabawą ludzkości, która — jak każdy starzec — znajduje rozrywkę w przypominaniu sobie dawnych lat. Wiele bowiem prawd rysujących się na stronicach książki ma zastosowanie również i do naszych czasów.

W przyswojeniu zawartej tu wiedzy dopomaga czytelnikowi głębokie poczucie humoru autora. Dla przykładu zapoznajmy się z takim ustępem: „Nikommu nie przychodzi na myśl kwestionować wierzenia ogólnie przyjęte. Tylko niewielu z nas ma więcej danych do wierzenia w bakterie niż w czarownice. Nasze społeczeństwo popiera wiarę w pierwsze, ośmiesza zaś wiarę w drugie; inne społeczeństwa postępują odwrotnie. Faktem jest, że pewna liczba powszechnie znanych uczonych widziała bakterie pod mikroskopem. Lecz jeszcze więcej uczonych Europy średniowiecznej i murzyńskiej Afryki widziało na własne oczy czarownice. Otóż wyższość naszej wiary będzie ustalona na dłuższą metę tylko wtedy, jeśli środki antyseptyczne i szczepionki będą lepiej chronić przed śmiercią, a tym samym umożliwiać rozwój społeczeństw, niż to czynią zaklęcia magiczne i palenie czarownic na stosie” (s. 17).

Tu i ówdzie można wytknąć książce pewne, drobne zresztą, błędy szczegółowe i niekonsekwencje. Chyba nieco zbyt pochopnie szermuje Childe analogiami wczesnych społeczeństw i ludów znajdujących się obecnie na podobnym szczeblu rozwoju — trzeba pamiętać bowiem, że pomiędzy dzisiejszymi dzikimi a ludźmi pierwotnymi istnieją poważne różnice. Również może mniej stanowczo należało przypisać zapoczątkowanie uprawy ziemi i chemii spożywczej wyłącznie kobietom. Chomąto nie zostało wynalezione „w ciemnych wiekach Europy, gdzieś około IX w. p.[!]n.e.”, (s. 83), lecz w Chinach ok. 500 r. n.e., do Europy zaś dotarło w wiekach nazywanych, niezupełnie zresztą słusznie, ciemnymi tj. w średniowieczu, być może w IX stuleciu n.e. (przesunięcie wynalazku na IX w. p.n.e. jest pomyłką polskiego przekładu). Przy okazji stwierdzenia, że w Mezopotamii używano sań, przynajmniej do pogrzebów, jeszcze ok. 2600 r. p.n.e. (s. 81), warto było dodać, że tradycje przewożenia zwłok na miejsce spoczynku saniami dotwały na niektórych obszarach, np. u Słowian wschodnich, aż do czasów historycznych (ok. 1000 r. n.e.).

Co do wiadomości o egipskich *harpedonaptai*, tworzących kąty proste na zasadzie proporcji 3:4:5 lub 5:12:13 (ss. 213—214), należy zastrzec, że czołowi historycy matematyki ustosunkowują się do tych przekazów bardzo sceptycznie<sup>1</sup>. Wieża

<sup>1</sup> Tak np. D. J. Struik w *Krótkim zarysie historii matematyki* (Warszawa 1960, s. 35) pisze: „Nie ma żadnych wzmianek wskazujących na to, że Egipcjanie mieli

Faros nie miała prawdopodobnie wysokości ponad 150 m (s. 232), lecz około 130 m, nie od razu też palono w nocy ogień na jej szczycie: w okresie ptolemejskim pełniła ona funkcje widocznego z dala drogowaskazu dla żeglarzy jedynie w dzień, latarnia morską w dzisiejszym rozumieniu stała się dopiero w I w. n.e. W każdym bodaj obudzi się protest przeciwko takiemu sformułowaniu: „Wielki Mur [chiński]... jest obok Wielkiej Piramidy egipskiej, wału Hadriana i Radio City jednym z największych osiągnięć ludzkich w dziedzinie budownictwa” (s. 236). Porównywanie wału Hadriana z Wielkim Murem przypisać można jedynie patriotyzmowi brytyjskiemu Childe'a, Radio City zaś jest tu chyba zupełnie nie na miejscu.

Z *poloniców*, o ile można o nich mówić w tak odległej epoce, mamy do sprostowania jedną informację: na nasze ziemie koło jezdne dotarło raczej po 1000 r. p.n.e., choć autor pisze, że pojazdy kołowe „przed końcem drugiego tysiąclecia objęły obszar od Chin do Szwecji” (s. 82). W 1954 r. Childe nie mógł jeszcze wiedzieć o świętokrzyskim hutnictwie żelaza z początków naszej ery, które z pewnością zasługiwałoby na wzmiankę nawet w tak szkicowym ujęciu. O terytorium polskim zatem autor pisze tylko raz: na s. 61 wspomina o grupach neolitycznych trudniących się zespołowym wydobywaniem krzemienia.

Zaden z wymienionych lapsusów nie ma większego ciężaru gatunkowego. Istnieje jednak pięta achillesowa temu *O rozwoju w historii*, a winą za to należy w całości obarczyć redakcję polskiego przekładu, która wykazała daleko idącą ignorancję w matematyce, choć matematyczna zawartość książki nie wykracza ponad poziom obowiązujący w szkole podstawowej. Błąd we wzorze (s. 176) może być winą drukarni. Na zdanie: „Blok mieszkalny o 50,5 m<sup>2</sup> zawierał dom mieszkalny i trzy składy, każdy 5 na 4,5 m” (s. 195) — choć jest nonsensem, bo już tylko owe trzy składy miałyby łącznie powierzchnię 67,5 m<sup>2</sup> — większość czytelników nie zwróci zapewne uwagi<sup>2</sup>. Nieprzyjemnie rażą nowotwory językowe w rodzaju „punktu dziesiątego” (s. 174) czy „kropki dziesiątej” (s. 175), niewłaściwa i miejscami niejasna jest terminologia, którą przecież było nie trudno oprzeć chociażby na *Krótkim zarysie historii matematyki* D. J. Struika, wydanym również przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Można też było zasięgnąć opinii matematyka, czy jakiegokolwiek przedstawiciela nauk ścisłych.

Wymienione wyżej, tak łatwe do uniknięcia błędy, są niezwykle irytujące. Lecz nade wszystko zdumiewa stworzenie specjalnie dla tego właśnie przekładu nowej polskiej jednostki miary gęstości zaludnienia, wyrażonej liczbą mieszkańców przypadającą na 2,5 km<sup>2</sup>! Na s. 28 zamieszczono przypis: „Redakcja przekładu polskiego dla większej zrozumiałości podaje wszystkie miary i wagi używane w krajach anglosaskich w przeliczeniu na system metryczny”. Intencje może były i chwalebne. Ale już na s. 45 trzykrotnie podano zagęszczenie ludności w przeliczeniu na 2,5 km<sup>2</sup>. Oczywiście, domyślamy się, że chodzi tu o milę kwadratową, ba, wolno nam dziwić się nawet, że nie podano ściślejszej jednostki, tzn. liczby mieszkańców na 2,585664 km<sup>2</sup>... Mówiąc poważnie, tego rodzaju potknięcie w pozycji wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe jest doprawdy nie do wybaczenia. Co gorsza, nie sposób domyśleć się, skąd to potknięcie pochodzi, bo przecież chyba nie ze względu na trudność podzielenia dwucyfrowych liczb przez 2,5 czy nawet przez owe 2,585664.

Jednocześnie jednak należy podkreślić dobre strony opracowania redakcyjnego polskiego przekładu, a przede wszystkim opatrzenie go indeksami: rzeczowym

jakiegokolwiek pojęcie nawet o twierdzeniu Pitagorasa, pomimo pewnych pozbawionych podstaw historii o *harpedonaptai*, który rzekomo konstruował trójkąt prostokątny przy pomocy sznurka o  $3 + 4 + 5 = 12$  węzłach ...”.

<sup>2</sup> W angielskim oryginale chodzi o blok posiadający plan kwadratowy o boku 56 stóp, czyli 17 m, co daje powierzchnię 289 m<sup>2</sup>.



i nazw geograficznych. Ułatwia to znakomicie korzystanie z książki. Natomiast zaczerpnięte z oryginalnego wydania 4 mapki są słabe i niezwykle uproszczone, tak że nie stanowią żadnej pomocy dla czytelnika, który ma jakieś pojęcie o zarysach lądów i mórz obszaru Europy, części Azji i północnej Afryki.

W sumie, pomimo złej krwi z powodu usterek redakcyjno-rachunkowych, trzeba wyrazić uznanie dla inicjatywy wydawnictwa, dzięki której czytelnik polski otrzymał wartościową i ciekawą książkę. Niepokojąco niski był jej nakład (zaledwie 5000 egzemplarzy), zwłaszcza wobec znanej już od dawna i sprawdzonej także i w tym wypadku silnej chłonności naszego rynku na pozycje o podobnej tematyce. Wydaje się, że prace historyczne tego typu, niełatwo podlegające dezaktualizacji, powinny być wydawane w ilościach nasycających rynek na kilka lat.

Bolesław Orłowski

Bohdan Stefanowski, *Pojęcie ciepła w rozwoju historycznym*. Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, Warszawa 1963, ss. 128.

Książka prof. Stefanowskiego przedstawia w ujęciu historycznym rozwój poglądów na istotę ciepła od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Szczególny nacisk jest położony na drogę wiodącą do sformułowania podstawowych praw rządzących zjawiskami cieplnymi, a więc na powstanie termodynamiki jako odrębnej dyscypliny naukowej oraz na jej powiązania ze współczesną teorią budowy materii. Równocześnie autor uwzględnia aspekt praktyczny tej nauki, przedstawiając rozwój tzw. termodynamiki technicznej. Książka stanowi w polskim piśmiennictwie naukowo-technicznym pierwszą próbę historycznego ujęcia rozwoju nauki o cieple.

W bardzo interesujący sposób kreśli autor sylwetki uczonych, których osiągnięcia najwięcej zaważyły na procesie kształtowania się termodynamiki, przy czym informacje w wielu wypadkach są tak podane, że ukazują nie tylko konkretny wkład uczonych do sformułowania podstawowych praw, lecz również genezę tego wkładu, opory, jakie badacze musieli pokonywać przy głoszeniu swych poglądów, oraz związek między poglądami i osiągnięciami poszczególnych uczonych. Również pod tym względem książka wypełnia lukę w piśmiennictwie polskim.

Cennym fragmentem książki — zwłaszcza dla dalszych prac nad historią rozwoju tej dyscypliny naukowej — jest zestawienie bibliograficzne obejmujące 81 pozycji źródłowych o znaczeniu głównie historycznym z okresu od początku XVIII w. do lat trzydziestych XX w. Ponadto autor umieścił na końcu książki trzy zestawienia: chronologiczny przegląd rozwoju pojęć o cieple, skorowidz nazwisk i skorowidz rzeczowy. Zestawienia te bardzo ułatwiają poruszanie się w podanym w książce materiale.

Niemniej książka prof. Stefanowskiego nasuwa kilka uwag krytycznych, dotyczących zarówno jej strony merytorycznej, jak i sposobu prezentacji. Uwagi merytoryczne odnoszą się głównie do luk tej pracy. Mówiąc np. o teorii flogistonowej, autor nie wymienił nazwisk jej twórców, Bechera i Stahla, oraz nie zacytował ich dzieł. Przedstawiając rozwój termodynamiki, autor poprzestał na omówieniu termodynamiki ogólnej i technicznej, pomijając zupełnie termodynamikę chemiczną, która obejmuje obecnie coraz obszerniejszy krąg zagadnień i wkracza do coraz to nowych dziedzin praktycznych, leżących już poza granicami czystej chemii (np. metalurgia i metaloznawstwo posługują się termodynamiką stopów i termodynamiką ciała stałego). W książce nie ma w ogóle wzmianki o wprowadzeniu tak ważnego w termodynamice pojęcia jak energia swobodna (potencjał termodynamiczny), o jej związku ze stałą równowagi reakcji, nie mówi się też i o energii wewnętrznej,